

Julian Krzyżanowski – nauczyciel i pryncypał z perspektywy lat sześćdziesięciu

Jerzy Pelc

JERZY PELC

JULIAN KRZYŻANOWSKI –
NAUCZYCIEL I PRYNCYPAŁ Z PERSPEKTYWY LAT SZEŚĆDZIESIĘCIU*

Nie było się wtedy asystentem wydziału czy instytutu. Było się asystentem profesora. Tak właśnie to odczułem, gdy Julian Krzyżanowski dał mi u siebie mą pierwszą pracę. Otrzymałem ją pewnego dnia pod koniec stycznia 1945 w Krakowie przy ul. Lea 15^A, w mieszkaniu państwa Krzyżanowskich. Najzupełniej dla mnie niespodziewanie. Nie składałem przedtem żadnego podania o asystenturę i ani jednym słowem nie napomknąłem, że pragnąłbym się o nią starać. W ogóle mi to nie przyszło do głowy. Profesor zaś ani o takiej możliwości, ani o swym zamiarze nie uprzedził. Jak co dzień, wydając mi różne polecenia – to odebrać, tamto odnieść, tę książkę wyszukać – rzucił jeszcze mimochodem: „Aha, panie Jurku, niech pan jutro zajdzie do Kwestury; powinna tam czekać na pana pensja”.

Tak oto się zaczęła moja kariera uniwersytecka: zwyczajnie, bez najmniejszych uroczystości, bez żadnego „witaj na pokładzie”. Owszem, uścisk dłoni był, ale jak zwykle na „do zobaczenia jutro”. Wraz z pensją odebrałem nazajutrz legitymację asystencką z datą 31 stycznia 1945, a następnie zameldowałem się u swego Pryncypała po kolejne polecenia, trochę adiutanta, trochę czeladnika, trochę ordynans. Julian Krzyżanowski, dotychczas mój nauczyciel, stał się dla mnie pierwszym w moim życiu szefem. Ale zarazem – i pracodawcą. Zostałem bowiem pracownikiem Uniwersytetu Warszawskiego „w tymczasowej siedzibie w Krakowie”, a Uniwersytetu Warszawskiego namiestnikiem, ze swego własnego nadania, był Profesor. Jak inni sięgają w trudnych chwilach po władzę, on sięgał po robotę, którą ktoś musi wykonać. Gdziekolwiek wypatrzył ugór, przystępował do orki.

Ludzie Uniwersytetu... Długi korowód postaci: sześćdziesiąt lat. Czas zaciera w pamięci ich rysy. Nie wszystkich. Jak na zawołanie zjawia się przed oczyma postać Juliana Krzyżanowskiego, zawsze w ruchu, i ów pamiętny grymas – skrzywienie czy uśmiešek? – trochę kpiący, trochę figlarny, trochę złośliwy. Ten wyraz

* Wspomnienie to przedstawiłem na spotkaniu naukowym pt. *Julian Krzyżanowski – w 25 rocznicę śmierci*, zorganizowanym 21 XI 2001 przez Towarzystwo Naukowe Warszawskie, Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza i Wydział Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. W programie tego spotkania znalazły się też wystąpienia: Marii Bokszczanin, Andrzeja Biernackiego, Stanisława Frybesa, Jerzego R. Krzyżanowskiego, Tadeusza Ulewicza.

twarzy utrwaliła ręka artysty rzeźbiarza dla tych, którzy choć wiedzą, nigdy nie widzieli. Zbliżając się do nagrobego popiersia na Powązkach Wojskowych, ale tylko z przeciwnika, nie z profilu, ujrzą Profesora takiego, jaki pozostaje w pamięci.

Pamięta się żywo i ze wzruszeniem wspomina się swych pierwszych uniwersyteckich nauczycieli, pierwszego w życiu zwierzchnika, a raczej pryncypała. To dla ich roli w naszych losach. Ale bez względu na nią pamięta się i z respektem wspomina człowieka, który był KIMS: jednostką wyrastającą ponad otoczenie, kroczącą przed szeregiem, a więc wyjątkową. Nie tak ich wiele – nawet w elitarnych zbiorowościach, toteż za szczególne wyróżnienie trzeba sobie poczytywać, że zostało nam dane znaleźć się w pobliżu niektórych.

Oprócz codzienności pamięta się jakieś niezwykle zdarzenia. Ludzie wybitni są łącznikami z innymi wybitnymi.

Dzięki Julianowi Krzyżanowskiemu zostałem przedstawiony dwóm z nich, a z trzecim połączyło nas koleżeństwo i – chyba wzajemna – sympatia.

Leopoldowi Staffowi, spotkanemu na rogu Ordynackiej i Nowego Świata, przedstawił mnie Profesor jako jednego ze „swoich młodzianków”.

Do Kornela Makuszyńskiego przysiedliśmy się raz na chwilę, gdy jak co dzień o jedenastej jadł samotnie drugie śniadanie w zakopiańskiej „Kryształowej” – zawsze przy tym samym stoliku koło okna, udekorowanym pustym wazonikiem i pełną ćwiartką czystej.

I Staff, i Makuszyński serdecznie powitali Profesora, wyraźnie się ucieszyli ze spotkania. Podobnie witali go inni; wielokrotnie to widziałem. Wszyscy mu w ten sposób odpłacali za jego życzliwość i skuteczną uczynność.

Trzecia wybitna postać to Tadeusz Borowski. Spotykaliśmy się z nim codziennie w Korbutianum, wówczas na parterze gmachu Instytutu Historycznego UW. Dobrotliwie, cierpliwie i łagodnie bronił przede mną ideologii komunistycznej. Gdy gestami popierał swe argumenty społeczno-moralne, siny numer więźnia Konzentrationlager Auschwitz ukazywał się spod rozpiętego rękawa zniszczonej koszuli. Zacność i szlachetność promieniowała z jego oblicza o rysach jak postaci z radzieckich filmów o kołchozach. Zadne i szlachetne, pełne ciepła i współczucia dla ludzkiej niedoli były słowa, które wypowiadał z kresowym akcentem. Łatwo przychodziło oderwać Tadeusza od katalogowania książek – pracy ofiarowanej mu przez Profesora jako stypendium dla poety, niemal pozbawionego środków do życia. Rozmawiało się też o nowoczesnej poezji. Echem tych pogawędek pobrzmięła dedykacja na ofiarowanym mi przezeń tomiku *Imion nurtu*.

By w nurcie owych *Imion nurtu*
trzymając mocno żagiel i ster,
nie wypadł, burząc się, za burtę
Szanowny Jerzy Pelc, magister,
k' przestrodze wierszy parę. Cóż bo
poezja bez słów warta? (Racja!
Stąd wierszowana dedykacja.)

Młody asystent, Tadeusz Borowski,
Warszawa, 17.10.46.

Tadeusz Borowski był do Profesora bardzo przywiązany. Podobnie żona Tadeusza, Tuśka, i my wszyscy, cała familia czy też czeladź. Być może, Tadeusz był

spragniony poczucia wyłączności swego uwielbienia dla Pryncypała. I może odczuwał coś w rodzaju zazdrości, która sprawiła, że nie lubił Zofii Świdwińskiej, bo mu zabrała „jego” Krzyżanowskiego. Nie tał tej niechęci podczas pamiętnego wieczoru Sylwestrowego w Zakopanem – nie pamiętam: w r. 1946 czy 1947.

Tak czy inaczej (by użyć ulubionego powiedzenia Profesora) – zaraz po świętach Bożego Narodzenia wybrałem się do Zakopanego. Zawędrowałem z dworca aż pod skocznnię. Tam wynająłem pokój w najwyższym położonym domu na Parcelach i wybrałem się na spacer. Po paru minutach niespodziewanie spotkałem Profesora, panią Zofię, Tadeusza i Tuškę. Okazało się, że mieszkają opodal: Profesor i pani Zofia w „Tristanie”, a Borowscy przy tej samej ulicy kilkaset metrów wyżej, w „Lucylli” Związku Literatów. „A Pan gdzie mieszka? – zapytał Profesor. „Ależ to nonsens!” – wykrzyknął. – „Oszalał młodzianek, chce zostać pustelnikiem”. A Borowski: „Panie Jurku, u nas jest pełno miejsca i są dwa łóżka, a my śpimy na jednym; musi Pan zamieszkać z nami”. Zdecydowałem się natychmiast. Było dla mnie oczywiste, że gdy Profesor jest w „Tristanie”, nie mogę pozostać na swym wygnaniu; ani przez chwilę więc się nie wahałem utracić zadatek, zapłacony z chudej asystenckiej pensyjki. Powędrowaliśmy do „Lucylli”, gdzie na poddaszu Borowscy zostali zakwaterowani w jednoosobowym pokoiku wielkości przedziału kolejowego, przekształconym na dwójkę, z dwiema leżankami szerokości ławek w tym przedziale. Chyba Tadeusz dzieląc łóżko z Tušką, jeśli nie spał od ściany, musiał – mimo iż był mizernej postury – wystawać na pokój i zajmować wąskie przejście między łóżkami. Im, przywykłym do spania na obozowej pryczy, to nie przeszkadzało. Mnie – tak. Ale Profesor, jak zawsze zaradny, praktyczny i gotowy do czynu, załatwił już sprawę w zapełnionym po brzegi „Tristanie” i gdyśmy tam przybyli, właścicielka, pani kapitanowa – jeszcze nie upaństwowiona („Tristan” miał się wkrótce stać domem „Orbisu”) – dała się przekonać i dokwaterowała mnie do parterowego pokoju z oszkloną werandą. Od tej chwili cały czas spędzaliśmy w piątkę.

Wspaniałe to były ferie. Odkrywaliśmy w Profesorze uroczego kompana. Posałował nas Zakopanego i miłości do Zakopanego, a że czasu zostało niewiele, zajęcia trzeba było odbywać codziennie. Na miejsce posiedzeń seminaryjnych wyznaczał knajpy zakopiańskie. Tam, u Karpowicza, w „Kryształowej”, u „Jędrusia”, kończył się każdy nasz spacer między pensjonatowym śniadaniem a obiadem, jeśli nie także między obiadem a kolacją. Profesor nie chciał słyszeć o tym, żebyśmy za siebie płacili: gdy majster biesiaduje z czeladnikami, honor każe ich podejmować. Kurs rozpoczął od specjałów nie znanych ignorantom z Kongresówki: awanturki z sardynką oraz maczanki, które zamawiając mruknął: „Ba, ci biedacy nie wiedzą, co to jest maczanka”. Z upodobaniem wtajemniczał profanów w takie arkana kuchni swoich stron, jak przepis na kutię czy strudel z jabłkami. Z satysfakcją zaznajamiał ze smakiem swych ulubionych potraw regionalnych. W sprawie trunków Profesor zorganizował specjalną ekspedycję do Muzeum Tatrzańskiego oraz do Stacji na Antałówce. Chodziło o litwor, uprawiany przez Juliusza Zborowskiego w ogródkach okalających obie te instytucje. Korzeń litworu, ale tylko tego spod Tatr albo znad Bałtyku, należy zalać czystym spirytusem, dodać odrobinę cukru i po kilku dniach litworówka gotowa. Ma piękny zielony kolor, kryształową klarowność, cudowny zapach, a w dodatku jest lekarstwem na wszystkie niemal choroby. Na co szkodzi, miałem się przekonać w noc Sylwestro-

wą, a ściślej – gdy zawitał Nowy Rok. Na razie jednak zakupiliśmy kilka butelek wina, a Profesor jeszcze jakiś sok czy syrop porzeczkowy lub wiśniowy. Zastanawialiśmy się, po co.

Po uroczystej kolacji sylwestrowej w „Tristanie”, gdzie wznosiliśmy zdrowie pani kapitanowej (stopka wódki na głowę), przyłączyli się do nas Borowscy i zebrałiśmy się na pięterku w pokoju Profesora. Gościnnie Gospodarz przystąpił do sporządzania swych ulubionych mieszanek z wina, wódek i soku. Odradzam! Napój ten rozwiązuje języki, lecz ścina z nóg. Nieodległa przeszłość zapukała do drzwi. Tadeusz Borowski rozpoczął (jak myślałem) improwizację. Wysłuchaliśmy z przejściem jednego opowiadania z jego obozowego cyklu *Dzień na Harmenzach*. Gdy skończył, zaległa cisza; w niej padły słowa Profesora, wypowiedziane z powagą: „to sięga poziomu prozy Reymonta”. Jak się okazało, Tadeusz Borowski wtedy nie improwizował; miał gotowy rękopis. Wyrecytował co do słowa zapamiętany tekst.

W czasie zakopiańskich eskapad mogliśmy się przekonać, że nie tylko w Warszawie i nie tylko w Krakowie, gdzie Profesor studiował, doktoryzował się i habilitował, wszyscy go znają, radzi witają, zapraszają. Wędrując po Zakopanem, odwiedzając Witkiewiczówkę na Antałówce, willę Pawlikowskich „Pod Jedłami” na Kozińcu, Kapliczkę Witkiewicza na Jaszczurówce, Hrubę, Harendę, poznawaliśmy historię: ludzi i miejsca. O innych Profesor opowiadał barwnie i szczegółowo. Jego osobiści znajomi, postaci poetów z dawno minionych epok, bohaterowie utworów literackich, miejsca fikcyjne i autentyczne – wszystko to sąsiadowało na równych prawach. Imponująca pamięć podsuwała coraz nowe fakty. Tak samo jak w wykładach, przepychały się i prześcigały, wciskały w każdą szparę, nie zostawiając ani odrobiny wolnego miejsca. Tak samo jak wykładając nie zachowywał dystansu wobec przedmiotu narracji historycznej, na co dzień nie zachowywał go wobec spotykanych ludzi, wobec bieżących zdarzeń. Miał dar nawiązywania kontaktu od pierwszej chwili. Gdy się zdarzało wziąć fiakra czy sanki, dorożkarz natychmiast zostawał wciągnięty w rozmowę: już się wpół zwraca przodem do pasażerów i gestykulując batem, żywo rozprawia; raz nawet się to skończyło wywrotką; widocznie koń nie był dość uważny. Profesor opowiadał zwyczajnie o zwyczajnych rzeczach, bez namaszczenia, jakby poufale, nie zabiegając o walor retoryczny, nie gardząc plotką ani nie miarkując swych wypowiedzi. W rozmowie z asystentami potrafił o swym koledze-profesorze palnąć: „Tak to jest, jak się kto żeni z własną ciotką”, a na wykładzie słowami „Żydowin galicyjski” – bywało, że rozpoczynał relację o zasługach i osiągnięciach jakiegoś historyka literatury, krytyka czy wydawcy. Nie było w tym cienia antysemityzmu ni odrobiny lekceważenia. Tak się zapewne mówiło w jego rodzinnych Stojąncach i niewiele większym wówczas Sanoku, gdzie żyli obok siebie w zgodzie Polacy, Żydzi i Ukraińcy, zwani wówczas Rusinami.

Należał do formacji galicyjskiej. Przyjemność sprawiała mu rola przewodnika po własnej krainie kultury nie tylko duchowej, ale i materialnej. Dobrze się czuł w kawiarni i w „lokalu śniadankowym”, instytucji nie znanej w Kongresówce. W Krakowie takim przybytkiem była dawniej restauracja Pollera, we Lwowie zaś – klasyczne: „Atlas”, Teliczkowa i Nowak, miejsca z sentymentem wspomniane przez mego ojca. Te galicyjskie upodobania Profesora czyniły mi go tym bliższym. A może i przeszłość: to, że kazań jego stryja, kanonika Juliana Krzyżanow-

skiego, przed wiekiem w Kosinie pod Łącutem słuchali moi krewni; i on, i oni spoglądali zapewne na ten sam XVIII-wieczny zabytkowy tryptyk w kosińskim kościele; on to chyba niektórych z nich odprowadzał na miejsce wiecznego spoczynku, gdzie na wielu grobach odnajduje swoje nazwisko.

Wakacje letnie 1947 r. spędzaliśmy z żoną na Dolnym Śląsku w Matejkowicach. Tak się nazywała dzisiejsza Przesieka, gdyż tam właśnie Niemcy ukryli zrabowane płótno Matejki, bodajże *Bitwę pod Grunwaldem*. Z listu, który nadszedł z Warszawy, dowiedziałem się, że Profesor wypoczywa w pobliskim Wieńcu Zdroju (Bad Flinsberg), obecnie Świeradowie. Nie do pomyslenia było mieć Pryncypała tuż za miedzą i nie odwiedzić go. Nazajutrz więc wyruszyliśmy w drogę. Wystarczyło zejść kilka kilometrów do Podgórzyna, tramwajem dojechać na dworzec w Cieplicach, stamtąd pociągiem do Szklarskiej Poręby Górnej i grzbietem Gór Izerskich, wówczas jeszcze nie zdewastowanych, porośniętych pięknym lasem, pełnym jagód, od Zakrętu Śmierci dotrzeć aż na miejsce. Pogoda była wspaniała, szlak turystyczny zadbane: gdzie trzeba, ławeczka starannie pomalowana, tabliczka z napisem „*Goldene Aussicht*” – złoty widok, i strzałką, wskazującą, w którym kierunku należy patrzeć, żeby podziwiać.

Na samym początku pieszej wędrówki moja żona dostała ataku malarii, przywleczonej z Monachium, dokąd po upadku Powstania Warszawskiego została wywieziona na roboty. Sytuacja była niewesoła. Nie mieliśmy chininy, atak był ciężki, droga daleka wzdłuż całego pasma górskiego, żadnych środków komunikacji. Po kilku godzinach dobrnęliśmy do Wieńca i odnaleźliśmy Profesora. Zatrzymał się w głównym budynku sanatoryjnym, gmazysku niemieckim z przełomu wieków. Zajmował najlepszy pokój, taki, który w hotelu amerykańskim nazywały się apartamentem prezydenckim albo apartamentem dla nowożeńców (dwa wielkie łóżka i dwie obok siebie bliźniacze wielkie umywalnie, okna na trzy strony świata). Oczywiście, jak zwykle się okazało, że na miejscu dobrze wiedzą, kto jest ich gościem, i dyrektor – były słuchacz czy mąż byłej słuchaczki – przydzielił mu kwatery godną tak znamienitego lokatora. Nasz gospodarz natychmiast się zorientował w sytuacji i – jak zawsze zaradny, opiekuńczy, troskliwy, serdeczny – wziął sprawy w swoje ręce. Moją żonę, ledwo żywą, opatulił w koce, zapakował do wolnego łóżka (swoim zwyczajem wynajmował pokój dwuosobowy, żeby się było gdzie rozłożyć z robotą), przykrył olbrzymią pierzyną i przystąpił do sporządzenia lekarstwa. Dzięki niemu chora pozbyła się nie tylko męczących dreszczy, ale i uczucia skrępowania niezwykłą sytuacją podczas, bądź co bądź, pierwszej wizyty. My zażyliśmy to samo lekarstwo, tyle że profilaktycznie. Pomogło: ani Profesor, ani ja nie zapadliśmy na malarię. Późnym popołudniem wyruszyliśmy na przystanek autobusowy, odprowadzani przez naszego Gospodarza. Widzę go, jak czekając na nasz odjazd, na migi pokazuje przez szybę mojej żonie, że ma utyć: wzdyma policzki jak banię i grozi palcem. Obrazek sprzed pięćdziesięciu kilku lat, lecz niewyblakły...

Trzeba wybaczyć wspomnieniom, do tego jeszcze zaprawionym emocjami, że się nie ustawiają w ordynku, lecz skaczą z miejsca na miejsce i z roku na rok.

Jak co dzień, swój dyżur asystencki zacząłem tego dnia od zameldowania się w mieszkaniu Profesora przylegającym do lokalu Zakładu (na I piętrze Gmachu

Porektorskiego). Miałem odebrać bieżące polecenia, zdać sprawę z wykonanych i zasiąść w czytelni do katalogowania książek. Tym razem jednak w przedpokoju zatrzymują mnie zapłakane pani Zofia Świdwińska i woźna Porazińska, która opiekuje się gospodarstwem owdowiałego: trzeba Profesora ratować, jest ciężko chory. W pokoju zastaję go leżącego na tapczanie, nie zaś przy biurku. Na powitanie rzuca: „Panie Jurku, niech pan stąd zabierze te baby; żyć mi nie dają!” Wykonuję rozkaz i oczyszczam teren; po przeprowadzeniu ewakuacji wracam do chorego. Oczywiście twierdzi, że nic mu nie jest, zwykle przeziębienie, jutro będzie zdrow. Widzę jakieś recepty przepisane przez doktora Ozimowskiego, lekarza uniwersyteckiego (uderzające podobieństwo do Artura Grottgera) i przez prof. Waławskiego, który po koleżeńsku leczy profesorów. Na krześle obok tapczanu nietknięte pudełko papierosów, a w popielnicze obok ani jednego niedopałka. To niepokojące. Trzeba sprowadzić pomoc. Ale jak to zrobić? Profesor się na pewno nie zgodzi. Trzeba użyć fortelu: może potrzebna jakaś książka, bo właśnie jadę do Biblioteki Narodowej; zajrzę po powrocie. Popędziłem do Szpitala Dzieciątka Jezus. Tam kierownikiem Kliniki Chorób Wewnętrznych jest profesor Andrzej Biernacki, wybitny internista. Znam go, bo leczy moją matkę. Na szczęście nie odmawia: natychmiast pojedzie ze mną do chorego. Udaje się złapać taksówkę i ruszamy w drogę. Wprowadzam prof. Biernackiego, niepewny, jak pacjent zareaguje. I tu zupełne zaskoczenie: chory zobaczywszy lekarza zwraca się do nieistniejącego audytorium: „Proszę państwa, to chyba będzie Druś Biernacki”. Okazuje się, że i jego zna, jeszcze z pierwszej klasy szkoły podstawowej, niegdyś zwanej ludową. Obaj panowie zapomnieli na chwilę, jaki jest cel ich spotkania. Po kwadransie, zaopatrzone w recepty prof. Biernackiego i skierowanie odeń do ministerialnego pełnomocnika do spraw antybiotyków, które wtedy nie były dostępne w aptekach, otrzymałem przepisane lekarstwo. Zaczęła się intensywne terapia, uwieńczona pełnym sukcesem. Po dwóch tygodniach Profesor, szczęśliwie wyleczony z ciężkiego zapalenia płuc, urządził przyjęcie na cześć swego szkolnego kolegi. Znalazłem się wśród zaproszonych gości kolejno u Profesora, a po jakimś czasie na Koszykowej, w domu Andrzeja Biernackiego i jego żony, Grażyny Bacewiczówny.

Nie tylko natura, ale i los hojnie obdarowały Juliana Krzyżanowskiego. Otrzymał dobra duchowe: umysł chłonny, o żywych, rozległych zainteresowaniach, wspaniałą pamięć, talent badacza i uzdolnienia literackie. Zamaszysty temperament, pomysłowość inicjatora, niezmordowana aktywność, zapał do pracy i wytrwałość w jej wykonywaniu sprzyjały spożytkowaniu owych darów. Był silny, miał dobre zdrowie i szczęśliwe usposobienie, wolne od lęków i podejrzliwości. Dzięki temu mógł darzyć otoczenie zaufaniem i życzliwością, zawsze skłaniającą go do okazywania pomocy, którą w zamian bez skrupowania, w naturalny sposób, przyjmował w razie potrzeby – rzadkiej jednak, gdyż wydajność nieustannej pracy zapewniała mu względny dostatek. Lubił ludzi; dobrze się czuł w ich towarzystwie, zwłaszcza wśród młodych, i ludzie wzajem go lubili: za to, jaki był dla nich, i za to, że nie zatrzymała go zawiść, tak częsta w środowisku, do którego należał, i za to, że nie był małostkowy, że wolny był od uprzedzeń – także w sprawach politycznych (może dlatego, że od polityki się dystansował: wróciwszy z audiencji od Bieruta, przyznał bezstronnie, że to człowiek, który umie uważnie słuchać i robi takie wrażenie, jak gdyby mu na sercu leżały sprawy nauki).

Odnaczał się też na tle otoczenia myśłem praktycznym, zapobiegliwością dobrego gospodarza i umiejętnościami sprawnego organizatora. Tym jego zaletem, odwadze i zdecydowaniu zawdzięczała swe działanie polonistyczna warszawska, swą odbudowę po drugiej wojnie światowej, restytucja Towarzystwa Naukowego Warszawskiego i podźwignięcie z ruin jego siedziby, Pałacu Staszica. Na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych chyba tylko trzech nasi profesorowie mieli do dyspozycji „limuzyny” służbowe: rektor Uniwersytetu – polniemieckiego wielkiego horcha, Julian Krzyżanowski – małą simkę, oraz Kazimierz Michałowski – rowerową riksę. Wehikuły te sunęły Nowym Światem i Krakowskim Przedmieściem wązozami przekopanymi wśród gruzów.

Obok zalet – jak każdy – miał Profesor i wady, które niejednego zrażały: nie zawsze był taktowny, nie zawsze opanowany, nie zawsze powściągliwy w słowach, nie zawsze oględny. Owe wady były bardzo polskie. Wypływały z impulsywności, która sprawiała, że zaraz po gwałtownym wybuchu otwierał ramiona, by adwersarza przycisnąć do serca. Sobiepaństwu nie pozwalał stać się warcholstwem.

Umiął swe wady obracać w zalety i zaprzęgać do skutecznego działania... niekiedy niezupełnie praworządnego. Oto gdy sobie umyślił, że założy w Warszawie na Uniwersytecie Instytut Polonistyczny, nie oglądając się na zgodę władz przystąpił do zakładania tej placówki. Zaczął zaś od zamówienia pieczętki „Instytut Polonistyczny Uniwersytetu Warszawskiego”. Używaliśmy jej przez kilka lat, choć Instytutu nie było. Ale w końcu powstał, co prawda, nie całkiem według zamierzeń i projektu Profesora, na pewno jednak dzięki nadanemu przezeń impulsowi: część na Uniwersytecie jako Instytut Literatury Polskiej, a część w Polskiej Akademii Nauk jako Instytut Badań Literackich, Korbutianum i Archiwum Orzeszkowej.

Czasami się wydawało, że Julianowi Krzyżanowskiemu bardziej by pasowała partyzancka burka aniżeli uniform oficera regularnej armii. Toteż byłem zaskoczony, gdy Zdzisław Libera mi powiedział, że Profesor życzył sobie, żeby go pochowano w todze profesorskiej. Nie wiem, czy tak się stało i czy istotnie sobie tego życzył. Faktem jest, że nieraz wadził się z władzą uniwersytecką, nie żałując jej zapalczywych słów (bywał niezdyscyplinowany, jak kiedy podczas Powstania stojąc przy oknie przyglądał się atakowi na swą kamienicę, co przypłacił postrzałem w nogi). Również jednak jest faktem, że ukształtowała go nasza najstarsza uczelnia, która – jak żadna inna – potrafi zaszcześcić swym wychowankom kult hierarchii i symboliki uniwersyteckiej.